

NASZE PAMIĄTKI W CHARKOWIE.

Okruchy niedawnych wrażeń.

(Dokończenie.)

Zdała od kraju, prawie zapomniany, rzecz można, w onej dobie od swoich, mąż ten pełen talentu pod dachem owego gmachu stał się jednym z twórców polskiej powieści... Cały szereg komedij i dramatów: *Stary mąż*, *Pani kasztelanowa*, *Doktor medycyny*, *Stacya pocztowa w Huczy*, *Okno na pierwszym piętrze*, *Andrzej Batory* i wiele innych — ujrzały światło dzienne w murach owego szkolnego gmachu. Tam powstały *Spekulant* i *Kolokacya*, powieści rozpoczynające nową erę naszego obyczajowego powieściopisarstwa. Domostwo to zatem możemy mienić jedną z kolébek polskiej powieści i stawieć je obok dworów Omelna i Gródka, gdzie nasz mistrz nad mistrzami, wielki talentem, pracą i obywatelską zasługą, J. I. Kraszewski, kręślił pierwsze swe utwory. Jeżeli te skromne przybytki na Wołyniu, co patrzyły na pierwociny prac Kraszewskiego, cennymi są dla pamięci narodu, nicobojętnym dla nas być powinien i ów gmach w Charkowie, ongi szkolny, dziś w zaniebdaniu skazany na przedwczesną zgrzybiałość.

Epoka pobytu J. Korzeniowskiego w Charkowie dla mnie jest zbyt dawną, poznałem bowiem owo dalekie, zaworskie miasto już w dziesięć lat po wyjeździe zeń autora *Karpackich gór*; tradycya wszakże tego pobytu była tam jeszcze dość żywa. Pamięć, którą po sobie zostawił mąż pełen talentu, tak tam, jak i w kraju, na nieszczęście nie nader była przyjazną. Co innym przebaczoneby, jemu nie przebaczone; i te to pono drobne drzazgi stosunków z otaczającymi, w dość drażliwy sposób postawionych, które raniły zapewne wielokroć ową duszę artystycznych usposobień, dały mu myśl do napisania *Kolokacyi*... Ta drobna szlachta, w ciągłych swarach o drobiazgi, wegetująca gdzieś w wioszczynie wołyńskiej, pośród żyznych łąk Starego-Konstantynowa, której zwady, koalicje i szermierki językowe odwzorował z taką potęgą sztuki J. Korzeniowski, azali to nie jest wierny obraz burz w szklance wody, co wielokroć wstrząsały stosunkami kolonij naszych ziomeków, rzuconych zdala od gniazd rodzinnych?.. Izba, która widziała narodziny *Kolokacyi*, *Spekulanta*, gdzie powstały znakomite typy komedij Korzeniowskiego, a Szekspira ubierano w szatę polskiej mowy, izba ta jest dziś składem starych rupieci izraelskiej rodziny. Kolébka arcydzieła sztuki sprofanowana, zbrudzona, dość smutne na przechodniu wywierca wrażenie... Niedługo w niej wszakże gościłem; ciekawy wzrok terazniejszych gospodarzy mieszkania, niemogących zrozumieć, co pociągającego mieć może dla mnie izba zaniebdana, odarta, osłonięta pajęczyną, prędko mnie z niej wypędził. Odchodząc, upewniłem gospodarzy tego niegdyś przybytku sztuki, iż są to ostatnie zapewne nawiedziny, co spokój ich zakłócają. Czciocieli pamiątek dni minionych coraz mniej u nas.

Cmentarz był ostatnim kresem mych wędrówek po Charkowie. Nazajutrz miałem odbyć wycieczkę zamiejską, nieco dalszą, do *willi* niegdyś *Siemiradzkich*, z którą-to miejscowością łączą się moje osobiste wspomnienia, gdzie spędził swe młodociane lata nasz artysta europejskiej dziś sławy, Henryk Siemiradzki.

Na cmentarzu, gdzie rozmaitemi czasy zebrała się liczna gromadka grobów ziomeków naszych, pragnąłem hołd oddać mogile profesora Alfonsa Walickiego i zapomnianemu od świata grobowcowi Grzegorza Hreczyny. Grób Walickiego, acz pierwszy raz nawiedzałem cmentarz charkowski po jego zgonie, łatwo odszukałem. Hreczyny w głębi cmentarza z trudnością wpada w oko wędrowca. Było tak i dawniej, kiedy niespełna dwa dziesiątki lat dzieliły nas od zgonu znanego ongi matematyka. Teraz zaś, gdy więcej niż drugie tyle lat ubiegło, przysparzając mi

w tej krainie cieniów, niemało zużyłem czasu, aby wśród tłumu nowych grobów wynaleźć mogilę ubogą cichego, a pożytecznego pracownika na niwie wiedzy, uprzednio w Krzemieńcu, potem w Kijowie, przy zawiązującej się tam zaledwie wówczas wszechnicy, a wreszcie w Charkowie, gdzie już nie starczyło sił do dłuższego życia szermierzowi nauki. Poto tylko znać przyjechał on na zaworskie stopy, aby znaleźć na nich mogilę, jedną bowiem zaledwo zimę strawił Hreczyna na katedrze charkowskiej uczelni... Cała działalność Hreczyny należy do epoki zawiązków kijowskiego uniwersytetu, a przeważnie do najświetniejszej doby liceum wołyńskiego, w Krzemieńcu, gdzie w pobliżu swęj kolébki z wielką pracą, a niezaprzeczoną pożytkiem wykladał z katedry licencjnej matematykę wciągu lat czterech. Dziś, kiedy tak już mało mamy ludzi, oddających się z zamiłowaniem pedagogicznemu zawodowi, gdy często rzecz tę traktują niby la-dajako prowadzone rzemiosło, zabaczając iż to najważniejsza z prac społecznych, uważałem za słusne wywołać z grobów niepamięci chociaż parę imion dawnego zastępu pedagogów. Cienie te przeszłości często przerastają obecne pokolenia pod względem gruntownej wiedzy, a są prawdziwymi olbrzymami pracy i poświęcenia się trudnemu powołaniu... Pracowali oni często dla obcych i wśród obcych, pozbawieni tej nawet pociechy, aby własne społeczeństwo mogło mieć korzyść z ich długoletniego znoju. Spełniali wielkie posłannictwo dziejowe: roznoszenie światła i prawdy na skrajach świata, i tam, jeżeli im sił starczyło przejść nieskalanie przez cały gościniec utrapień i pokus, padali samotni w milczeniu, bez skargi, bez jęku boleści, unosząc do mogił za całą ziemską pociechę przeświadczenie, iż powinność swą spełnili...

Pełen smutnej zadumy, wracałem do miasta, gdzie mnie czekała jedna ze wspanialszych uciech ducha. Spotkałem ostatniego z grona tych, co byli ongi przewodnią gwiazdą dla nas, stojących jeszcze u wrót życia, dziś zaś tworzą ogniwo, łączące dobie obecną z pokoleniem minionych dni. Wśród wielkiego mogilnika wspomnień, był on dla mnie jakby głosem innego świata, wlewającym otuchę, zachęcającym do wytrwałego stąpania stromemi ścieżkami ziemskiej pielgrzymki. Godziny z nim strawione stały się balsamem pociechy dla myśli rozżalonej długim obcowaniem ze światem przeszłości...

Nazajutrz, gdy zaledwie miasto zbudziło się ze snu, już dążyłem po za jego rogatki, chcąc zwiędzić *willę* dawniej *Siemiradzkich*, co była prawie kolébką artysty o rozgłośniej sławie. Tam on mieszkał z rodzicami przez cały okres lat pachołeczych, ztamtąd uczęszczał do szkół i na kursa akademickie w Charkowie, tam błysnęła ku chlubi krajowej pierwsza jutrzienka jego wielkiego talentu, tam wreszcie troskliwa matka wytworzyła dlań otoczenie tak swojskie, iż pachołę wzrastało w tym zamiejskim gaju, jakby u siebie. Atmosfera wiejąca wonią pól naszych tak tam zawsze przeważną była, iż przed laty, za dni mego pobytu w Charkowie, korzystając z udzielanej mi uprzejmie gościnności, śpieszyłem wielokroć pod ów dach wiejskiej zagrody, pewnym będąc, że na chwilę zdołam zapomnieć o przestrzeni, co mnie dzieliła od swoich.

Przebiegając teraz cały cykl wspomnień charkowskich, pragnąłem go zamknąć odwiedzeniem *willi Siemiradzkich*, która, acz w innych rękach oddawna, zawsze nosi to miano, tak dziś chlubnie znane w naszym kraju i u obcych. Bez owych odwiedzin, eksploracya pamiątek naszych w zaworskim grodzie zupełnąby nie była.

Willa owa leży na skrajach przedmieść zamiejskich. W czasach kiedy bywałem jej gościem, a dzisiejszy artysta, dziecię naówczas wątłe, dobiegał zaledwie połowy kursów szkolnych — wiejska ta zagroda mniejszą niż dziś miała spójnię z miastem. Pola uprawne, przestrzenie niezabudowane, pustkowia i pojedynczo rozsiane chaty wieśniacze oddzielały ją od miasta. Dziś miejscowość uległa znacznym zmianom. Błądziłem i pytałem, zanim mogłem znaleźć tak mi ongi do-

brze znaną drogę. Od głównego gościńca, wzdłuż którego legły przedmieścia i domki zamiejskie, boczna uliczka, wązka, kręta, błotnista, ocieniona wiejskimi nędznymi lepianki, prowadzi do owęj willi. Uliczka ta, acz dawniej drogą tylko była, już jednak nosiła na planach, mających się zabudować przedmieść, miano ulicy Siemiradzkiego — od nazwiska ojca artysty, który w tym zakątku pierwszy wznosił większą zagrodę. Miano to dziś przetrwało w ustach ludności podmiejskiej. Kierując się przeważnie pamięcią wrażeń młodocianych, stanąłem u celu poszukiwań.

Dom otoczony ogrodem, dziedziniec obszerny, na wzór dziedzińców naszych dworów wiejskich, ocieniony drzewami i krzewy, tworzą to miłe ustronie, gdzie pod wyłącznym prawie kierunkiem matki, bo zatrudnienia ojca często go z domu wywoływały, kształciło się i wzrastało pachołę, co miało nowy promień sławy rzucić na ziemię rodzinną.

Obecnie zagroda pokazniej nieco wygląda: drzewa się rozrosły wspaniale, dom odświeżony i odmłodzony, nowy właściciel jest bowiem za-możnym pono bankierem, czy przemysłowcem — dla mnie jednak postać domostwa dawniejsza, bardziej skromna i wieśniacza, miłszą była.

Przestąpiwszy bramę obejścia, prosiłem właścicieli willi o pozwolenie zwiędzenia ogrodu i zdjęcia widoku przez fotografa, którego miałem przysłać. Dość uprzejmie udzielono mi przyzwolenia, syn zaś gospodarzy domu został delegowany, aby był mym *cicerone*. Podczas przechadzki po owym ogródku, uprzytomniła mi się przeszłość tej zagrody, tak dalekiej, a tak ongi szczerze swojskiej, iż mogło się zdawać, że ją dobry geniusz rodziny przyniósł tu znad źródeł nie-mnowych. Nasze księgi, nasze dzienniki, które nader rzadko w one lata bywały nawet w kraju pod dachem dworów wiejskich, spotykałem wówczas wśród ścian tej willi. Najczęstszym jej gościem bywała rodzina profesora Aleksandra Mickiewicza, który z gospodarzem domu złączony był węzłami dawniej, koleżeńskimi zażyłości, sięgającej pono epoki szkół dominikańskich, w Nowogródku jednocześnie odbywanych. Słowem, było-to gniazdo splecione z naszych krzewów, owite słomą pól naszych, ożywione powietrzem naszego nieba, przetrzucone dłonią losu na dalekie niwy. Dobrym geniuszem, co strzegł nietykalności owego gniazda, była matka znakomitego artysty, pierwszy jego mistrz i kierownik, niewiasta wyższego umysłu i uczuć prawdziwie obywatelskich.

Maryan Dubiecki.